Fejleton spirytystyczny.

Nr. 14.

Obrazki z życia,

ducha Kajetana.

(Ciąg dalszy).

Pan Marcin, mówiąc nawiasem, nie miał swego sypialnego pokoju; sypiał on w bawialnym salonie. Między ścianą graniczącą z jadalnym pokojem a fortepianem córek, stało łoże pana, usłane białemi haftowanemi poduszkami. Nad łożem widać wizerunki kilku świętych, a między niemi pośrodku figuruje wizerunek Andrzeja Towiańskiego; dalej stoi fortepian oparty o ścianę z białego fałdowanego muślinu, po którym pną się robione powoje w kształcie litery rozpoczynającej imię samej pani; znowu dalej znachodzi się etażerka z kwiatami, na przeciwko komoda, nad łóżkiem i w różnych innych kątach po ścianach wiszą fotografie pana i pani, razem, osobno, z córkami, snać w różnych epokach życia robione.

Pan Marcin powiedział dobranoc żoneczce, która w swojej sypialni tymczasem powierzyła swoją jasną główkę pannie służącej, a ta ze zręcznością prawdziwą zdejmowała bogate warkocze i układała takowe w pudełko. Pan Marcin wrócił do swego pokoju, i po zwykłych do snu przygotowaniach, położył się i usnął. Ale sny jego były męczące, straszne.

Wydawało mu się najprzód, że jego córka starsza, dla której w duchu układa męża jednego z braci w Towiańskim, poślubiła wbrew woli ojca jakiegoś heretyka, odszczepieńca, który o Towiańskim i słyszeć nie chce, a nawet śmiał się z tych wszystkich krzyżów, twierdząc, że Chrystus tylko na jednym umierał; zatem dwa drugie fingowane przez Andrzeja Towiańskiego, to zapewne już krzyże tych łotrów, złodziei, którzy słusznie taką śmiercią ginęli; że chrześcijanin dobry nie może takie krzyże uznawać i czcić zarówno z krzyżem Chrystusa. Zimno mu się zrobiło; zbiegł na dół po schodach do sklepu — ale o nieba! cóż widzi? Wystawa jego sklepu spadła i połamana tarzała się w błocie, natomiast przybijano tam inną z literami, które mu w głowie i w sercu wypieczone zostały. Wpadł do sklepu; pełno skrawek; zbliżył się do lady i o nieba! jego nożyczki, jego prawdziwe amerykańskie nożyczki, leżały w drobne kawałki połamane.

Pan Marcin zbudził się przelękniony strasznym snem swoim; zimny pot oblewał mu skronie; spojrzał w okna, już dniało. Zerwał się z łóżka, ubrał prędko i zbiegł śpiesznie po schodach na ulicę, pragnął ujrzeć co rychlej firmę swojej żony, wystawioną przed sklepem i aż wolniej odetchnął, gdy ją zobaczył nietkniętą. Stanął, spoczął, duszność mu z piersi ustąpiła. Jakto! On by miał stracić owoc tyloletnich swoich zabiegów i usiłowań? gdy nakoniec doszedł do celu i swobodnie tyjąc odsapywał za ladą, przyjmując gości niektórych grzecznie, innych cierpko, z lekceważeniem, stosownie do ich kieszeń pełnych, lub próżnych? I miałożby to kiedy zniknąć? Straszne widziadło senne zaniepokoiło go. Albo starsza córeczka, miałażby wyjść mimo woli ojcowskiej za heretyka, odszczepieńca? O, nie, tej zgrozy Pan Bóg nigdy nie dopuści, pomyślał sobie w duchu. Będę się modlił szczerze, pościł raz jeden jeszcze w tydzień, rozmieniam dwa szóstaki na pół cenciki i hojnie ich rozdam między biednych, to przecież święty Ignacy wraz z świętym Augustynem przedłożą wszystkie moje zasługi tam wyżej i ja nie zbankretuję, moja firma nie upadnie, a owszem wzrośnie, zrobię majątek, i będę mógł co wieczór nauczać o cnotach chrześcijańskich. Nie dodał tylko tego w duchu, że zająwszy miejsce swoje za ladą, niby dyktator, wydawać będzie rozkazy, padające gromem na biednych jego czeladników, z których każdy pojedyńczo, po całotygodniowej pracy w sobotę staje przed panem samowładnym dla odebrania zapłaty, a pan Marcin z uśmiechem rozkłada na ladzie należną sumkę, a żoneczka stojąc przed mężem, latem wystrojona w muśliny, koronki i wstążki, zimą utulona w aksamit, atłas i tumaki, zawsze jednakowo, z pół uśmiechem szyderczym, robi uwagę oczekującemu na wypłatę, ażeby uważał, co też to on zabiera pieniędzy i co on myśli z taką kwotą zrobić!

— Patrzno pan, ile to my mamy wydatków; my tylko na was pracować musimy.—

Słowa niesłusznie wyrzeczone, słowa, które by raczej mógł każdy z pracujących jej powiedzieć; bo nie ona na nich, ale oni na nią pracują. Innego, mniej szczęśliwego, który w ciągu tygodnia musiał wziąść naprzód parę guldenów, bo miał może dziecię chore w domu, lub sam zaniemógł; zamiast poratować tego biedaka, którego żona oczekuje w domu z niecierpliwością, niepewnością, czy też na dzień jutrzejszy świąteczny będzie miała na chleb dla dzieci, a biedak ten staje zakłopotany w kącie sklepu, chciałby prosić swego pryncypała, a nie śmie odezwać się aby go poratował, odprawia szorstko, bo bystre oko pana Marcina, naprzód wszystko odkryje; więc w wolnej chwili od wypłaty zapytuje go zimno, słodko:

Czego potrzebuje? Na co czeka, kiedy mu się nic nie należy? Może byś chciał naprzód pieniędzy? Nie, z tego nic nie będzie. Roboty pra-

wie nie ma, a zresztą to i lepiej dla aspana, że się przespacerujesz przez jaki tydzień; dobre powietrze posłuży ci na zdrowie i umysł odświeży, a spacerując nie zapomnij tam o Panu Bogu, o próżności i marności tego świata; odczytaj sobie Ewangelię; takie skupienie ducha, to bardzo potrzebne w życiu człowieka; a może się gdzie zabawisz, potańczysz? Z lekkim żołądkiem taniec idzie ledziej. Dobrej nocy życzę panu. —

I jego firma miała by upaść, a on już więcej nie mieć sposobności nigdy dawać takich moralnych nauk? Niespokojny pan Marcin pobiegł do kościoła. Z kościoła wrócił wprost na górę do pokoju żony, która wyciągała się jeszcze na cienkich, webowych, bogato haftowanych poduszkach; usiadł koło niej.

— Dzień dobry Mileczko! Jakżeś mi spała moja koteczko —

— Dobrze mój drogi, a ty? —

— Ja miałem sen niedobry; za tłusty rozbratel zjadłem i za małom po nim wypił wina; to mi spać nie dało.

— Ale z tem wszystkiem moja Mileczko, sen czasem bywa przestrogą; trzeba się cokolwiek upokorzyć przed Bogiem. Post jest najlepszym środkiem. Zatem kicio moja, na tę intencję zróbmy dziś dobry postny objadek, bo to po tych mięsach, to czasem i rybka smakuje; i tak na przykład, każ dzisiaj dać przed zupą marynowanych parę śledzi, linka na zimno, potem jaką postnę zupkę z wina lub piwa, a na pieczyste szczupaczka faszerowanego z sardynkami, jakąś jarzynkę i leguminkę, o tak jak na post, bez zbytków moja koteczko. Teraz spieszę do sklepu, a i ty tam przychodź duszko, bo to wiesz dobrze, jak to trzeba się pilnować...

Tu pan Marcin szybko na powrót oddalił się z pokoju żony, która zawołała pannę służącą, kazała się ubierać, przyczem rozporządziła się z kucharką o obiedzie i wyszła owinięta gazową zasłoną na przedpołudniową zwyczajną przechadzkę, w celu użycia świeżego powietrza, po którem zapewne, obiadek postny będzie bardzo smakować.

Biedny ten pan Marcin z całem swojem gniazdem! Gdyby tak tę grubą powłokę cielska, którą musi dźwigać na sobie, mógł nieco otrząść lub ulotnić, a zasłona utkana z próżności, pychy, samolubstwa, rozwiała się z przed jego oczu, inaczej by przejrzał na ten świat Boży i własne postępki. Strwożył by się niemi bardziej niż snem, który według jego zdania został sprowadzony tłustym rozbratlem. Wtenczas by zapewne mniej mówił o powinnościach chrześcijańskich, ale ich pilniej przestrzegał; szczerzej by się modlił, nie przezywał biedniejszego brata złem słowem, i nie mieszał swych plugawych myśli i uwag wraz z Boskiem słowem Chrystusa; nie cieszył by się z nieszczęścia drugiego, nazywając go chodzącą karą Bożą, bo on o sprawiedliwości Boskiej nic mówić nie

może; powinien tylko na nią czekać z pokorą, bo to, co często przez ludzi wyśmiane, wyszydzone, milej jest przyjęte przez Wszechmocnego, niźli te cnoty sławione faryzeuszowskie, te słowa bez echa, oczy pokornie spuszczone, lub patrzące przed siebie sposobem przypominającym barana.

Ale są ludzie, którzy płaszczyk hipokryzji, fałszu i złości tak doskonale przywdziać umieją, i tak im ta suknia przylgnie do cielska, że sami w siebie wmówią, że jest dobrą, a nagadają tyle o Bogu, że nakoniec sami nabiorą tego przekonania, że ten Pan Bóg w nich uwierzył. Faryzeusze wieku Chrystusa! czemże byście byli dziś zestawieni z faryzeuszami wieku dziewiętnastego?

Ale jak dla wszystkiego jest koniec, przyjdzie on i dla pana Marcina. Kreska się waży i sen się może w jaw obrócić, straszniejszą od snu rzeczywistość. Trzeba będzie zdać sprawę z swoich czynności, uczuć, myśli, chęci; bracia Towiańczycy i siostry nic wtenczas nie pomogą, odstąpią; a zanim przyjdzie się rozstać z ciałem i ekspiować duchem, trzeba będzie jeszcze przed tem odbyć ekspiację ciała. Wynik to nieunikniony wypływający z czynności człowieka.

Z latami przystąpią nieuchronni towarzysze zwabieni życiem pana Marcina: choroby fizyczne, które nigdy nie dotykają człowieka, prowadzącego życie skromne, spokojne w rodzinie. Rozumiem tu pod rodziną nie dzieci i żonę; bo nie liczy się za zasługę żadną, gdy ojciec kocha swoje dzieci. Nie może być inaczej; wszak i dzikie zwierzęta kochają swoje. Ale rozumiem rodzinę całą. Dość to ciasny okres wśród człowieczeństwa i przestworu świata.

Lecz gdy kto tak jak pan Marcin, nie zdoła zdobyć się i na tak małą i ciasną miłość kółka rodzinnego, chociaż ciągle o niej mówi, to wtenczas i nie zasłuży na miłość ludzką, ani Boską. Kto nie kocha, nie może być kochany, a Bóg jest cały miłością i dobrocią.

Pan Marcin żyjąc w nienawiści z całą rodziną, z krzywdą innych; sybaryta, a do tego nie bardzo po chrześcijańsku naigrywający się z biedniejszego, nie kupi sobie Nieba za pośrednictwem św. Augustyna.

Zaprawdę święty ten, jeżeli koniecznie chcecie aby był święty, a nie duch czysty, bardzo mało by miał do czynienia, gdyby się zaczął modlić i wstawiać do Boga, za jednym spasionym egoistą, który ma dość na to rozumu i pojęcia, aby się sam za siebie modlił.

Pan Marcin cieszył się niewiadomością i ślepą łatwowiernością kochanej siostruni; pan Marcin cieszył się bardzo jej upadkiem, bo ten upadek był dla niego stopniem do wzniesienia się materjalnie; nadął się jak pęcherz próżny, w tym miłym dla niego dniu, gdy jego firma błysła na miejscu zrujnowanego domu. A pani Marcinowa od tego czasu, zhardziała, utyła, nabrała dużo tonów, przyjęła pannę służącą, dzieci

wysłała na pierwszą pensję do nauki, chcąc je wykształcić na miłe próżniaczki, które gdy już uczyły się wszystkiego, chodziły na wszystkie prelekcje, to w końcu nic a nic nie umieją, a w razie potrzeby żadna nie zdoła sobie uszyć koszulę.

Cieszyli się wielce oboje państwo swojem powodzeniem, upadkiem Hipolita, nazywając go karą Bożą. Żałować ich trzeba; bo oni nagromadzili sobie dość złych czynów, a sami śmią mówić o karze. Snać pomimo nauk Towiańskiego, pan Marcin z żoneczką jeszcze nie umie Pisma Świętego, bo by zadrżał wymawiając te słowa niechrześcijańskie, lub na tę sprawiedliwość niebieską, na którą się tak odwołuje a nie wie, że nie zawsze ten tylko zbrodniarz co morduje pałką, bo są moralne zbrodnie większe stokroć od takiego morderstwa, słowa, które nie zadając śmiertelnego razu, zwolna wgryza się jadem w duszę drugiego człowieka, zadając boleść równą truciźnie. Do takich pocisków dumę okazaną bliźniemu aby go upokorzyć, uszczypliwe słowa, policzyć można.

Lecz czas wszystko zmienia. Przyjdzie starość, i pan Marcin zobaczy się opuszczony od wszystkich, zacząwszy od dzieci, u których nie wywalczy sobie przywiązania i miłości z takiem postępowaniem jak on postępuje. Młodość ma swoje prawa, a biedne dziewczęta, niewolnice własnych uczuć, niewolnice w słowach, uśmiechu, instynktownie czują, że z niemi postępują niesłusznie. Natura się budzi, wszystko chce mieć swoją wiosnę, i one wolały by raczej słyszeć muzykę, pogwarzyć potańczyć, niż bawić się drewnianą małpeczką; wolałyby widzieć młodą twarz obcego człowieka, któryby zamiast katechizmu Towiańskiego, opowiedział im coś o poezji, o świecie, i Bogu, ale o Bogu pojednania i miłości, dobroci, nie o Bogu strasznym, gniewnym, o Piekle i Czyśćcu. A rodzice tuczą te biedne stworzenia, niby kurczęta w kojcu. Mamcia córeczkom co roku przykróca sukienki, i ścieśnia swoje staniki, chcąc córki i siebie co rok zrobić młodszemi, a prawo natury postępuje zwolna i jak każde prawo niecofnione, niezwruszone.

Spadnie firma jego domu, bo nie będzie ją komu podtrzymać, a i bracia w Andrzeju nie pomogą; bo słabo trzymają się na podobnych podstawach majątki. A nienawiść ku swemu bliźniemu, te trzeba będzie odpokutować, i po pokucie twardej, przykrej w ciele, w której będzie jeszcze musiał widzieć spokojne twarze tych, których chciał zgnębić, których nazywał chodzącą karą Bożą, i będzie widział ich dzieci szczęśliwe, nie napierające się niczego nad to, co mieć mogą, to ciężko mu będzie w duchu, że nie żył jak człowiek, lecz jako zwierz w jaskini.

Chociaż nie dość treściwie naszkicowałem postacie pana, pani i panien Marcinówien, bo wiele jest jeszcze rysów które trudno wszystkie wiernie jak fotografia odbić, to poprzestać muszę na tych dotąd naszkicowanych, z powodu już mało pozostającego miejsca, aby choć pobie-

żnie zrysować i resztę postaci tej zajmującej rodziny. Liczna, szczęśliwa, hojnie uposażona darami niebios, powinna by dziękując Bogu za Jego dobroć, pokazać ludziom z siebie piękny przykład miłości i zgody rodzinnej, która podtrzymana w ognisku domowego kółka, rozlewa swoje dobroczynne promienie, ogrzewając dalej niemi i obcych, którzy się ku niemu zbliżą. Gdy przeciwnie starsi z rodziny pokazali z siebie przykład młodszym i dzieciom, że wolno się nienawidzić nawzajem, chociaż każdo z nich chce uchodzić za dobrego, pobożnego chrześcianina; każdo z nich twierdzi, że wychowuje swoje dzieci w miłości i bojaźni Bożej.

Zaiste, dziwną ukazuje się ta miłość. Pani Dorota z siostrą swoją od lat kilku nietylko że nie czują do siebie miłości, ale unikają starannie spotkania wzajemnegó; ale że obie te panie chcą być przykładne w oczach ludzkich, potrzebują zatem przed światem wytłumaczyć się z tego dziwnego nieco jak na dobre katoliczki przystało stosunku. Wyszukali go więc sobie wzajem w osobie synowej pani Kingi, która jak Pilat w kredo, wpadła w ich rodzinę, aby się stać celem ich wielostronnych pocisków.

Ona to zrujnowała majątek rodzinny, i z tego to powodu nieporozumienia nastąpiły. Gdyby jednakże chcieć lepiej i bliżej poszukać w stosunkach rodzinnych, znaleźlibyśmy, że taki sam stosunek trwał i przed laty, chociaż pani Hipolitowa, nietylko że nie była jeszcze ich synową, ale może nie była i na świecie. Zresztą, krucha to bardzo była miłość, gdy się rozsypała wraz z kilkunastu rozwianymi papierkami.

Z tego to powodu i pan Marcin miał się poróżnić z siostrą, chociaż niesłusznie; bo jemu to jakoś wszystko jawnie na korzyść wpływało. Sądzić by należało, że tą stratą, pan Hipolit powinien był sobie zaskarbić przyjaźń u pana Marcina, gdyż w skutek niej z dwu ciasnych pokoi, zajął piękne mieszkanie; z podwładnego został sam panem, a przecież nienawiść czuje do rodziny i przelewa ją z naukami Towiańskiego w serca swych młodych córek.

Panie Marcinie! Bóg powierzył twojej opiece dusze niewinne; starajże się, aby nienawiść rodzinna wraz z tobą nie zgasła, ale rozkrzewiła się i wydała owoce. Nie obawiasz że się słusznej kary niebios za podobne postępowanie? Wszakże ciebie spytają, jakżeś ty pokierował temi duchami, które Bóg powierzył twojej opiece, abyś im dopomógł do ulepszenia się moralnego, duchowego. Żałować będziesz kiedyś patrząc na skutki jakie za sobą pociągnie taka nauka gorsząca. Pod jednym dachem zrodzone dzieci twoje z dziećmi siostry twojej, wychowałeś w nienawiści ku nim. Lecz wina twoja nie jedna, i siostra dopomogła ci w twoim dziele, i ona nawzajem nie nauczyła kochać rodzinę, a licząc nieustannie, nic nie umiała zliczyć należycie, bo się przeliczyła, a piękną dziatwę swoją wychowała tak, że jedno drugiego nietylko nie pragnie widzieć szczęśliwem, ale najmniejszego nie czuje popędu do mi-

łości wzajemnej. Nic dziwnego od dzieci. Nie powiedziano im, że kochać się w rodzeństwie, to błogosławieństwo Boże spływające na dom.

Z pozostałych dwóch córek, obie w wzajemnej żyją niezgodzie. Starsza artystka dwupalcowych ćwiczeń, która dobiegła w stanie panieńskim pewnego wieku, pomna na to, co raz bardziej opuszcza z żądań i wymagań w wyborze męża, a które najczęściej, choćby najmniejsze, niezważane przez nikogo, pełzną na niczem. Wyrosła sobie szczęśliwie, bezwiednie: dla czego ją Bóg stworzył; jaki cel życia człowieka. W jej przekonaniu urodziła ona się na to, ażeby być szczęśliwą, kochaną, słuchaną; aby mieć na wszystkie zachcianki pieniądze, ludzi, którzy by słuchali spokojnie i chętnie jej grymasów. Lecz ona za to nie czuje się w obowiązku żadnym względem ludzi, krewnych i świata; bo ona nie myśli z swojej osoby żadnej uczynić ofiary dla nikogo, a chce tylko tak żyć, aby jej to życie przyjemność sprawiało.

W takim stanie rzeczy panna Ludwika doszedłszy lat dojrzałości dziewiczej, czekała z spokojną dumą na konkurenta o rękę, ponieważ pewną była, że przy pomocy fryziera, modystki, krawca, pudru, maminych pieniędzy i jej własnych zalet osobistych, zjawi się mnóstwo wielbicieli, któremi ona będzie pomiatać, lekceważyć, aż póki nie będzie ten przeznaczony, oczekiwany, najszczęśliwszy z pełną kieszenią, znaczeniem, zakochany, przygotowany na wszystkie grymasy i fochy ze strony panny i który w nagrodę cierpliwości i westchnień kilkoletnich, na wzór średniowiecznych rycerzy, otrzyma nakoniec cel upragniony, piękną rączkę panny.

Kilka lat wiosny panieńskiej upłynęło. Byli pretendenci, ale nie dość wytrwali w postanowieniach i uczuciach swoich, aby dojść do celu; cofali się zwolna jeden po drugim. Panna dumna zawsze, co raz dłużej poczęła się ubierać, przeglądać w lustrze, nudzić swoją modystkę o fason kapelusza i krój sukni, odmieniać fryzurę, przesypywać mąką twarz; lecz gdy to jakoś nie dopomogło, rozpoczęto myśleć co by miał być za powód, że inne panny idą za mąż, a ona siedzi? Nie opatrzyła się biedaczka, że inne oprócz ładnych twarzy, miały w piersiach serce; kochały szczerze tych, których im Bóg dał do kochania; że miłość młodej dziewczyny, to słońce ogrzewające cały domek rodzicielski, które promieniem swoim świeci w jej oczach; a taka serdeczna istota, nie może nie napotkać wśród swojej drogi istoty drugiej, która by ją niepojęła, nie zrozumiała. A ona nieboga myślała, że dość jest być dbałą o siebie, aby zwrócić uwagę drugich. Więc nie w samej sobie chciała znaleść przyczynę swego przedłużającego się panieństwa, ale w innych osobach, i nakoniec znalazła. Tak, to jej brat i bratowa winni; gdyby byli tam w Rosji zrobili majątek, ona by była już niezawodnie poszła za mąż. Wieczna nieprzyjaźń tej nieprzyjaciółce, tej przeszkodzie w jej przyszłości.

Ale cóż! Nieprzyjaźń męża nie da, gdy go niema. Rozgniewała się na cały ród męzki i postanowiła go ukarać, zostać artystką, nie dbać o niego. Ztąd rozwinęła się jej namiętność do muzyki, cokolwiek spóźniona. Dziś gra nieustannie, od rana do nocy; kaleczy swemi ćwiczeniami uszy swoich sąsiadów, występuje od czasu do czasu w koncertach na cele dobroczynne, ubiera się bardzo starannie, bo jeszcze nie opuściła jej nadzieja za mąż pójścia, a w braku miłości do kogo innego, kocha swoje suknie, swego pieska, kota i klawiaturę.

Jeżeli pozornie obojętność i egoizm dają szczęście w świecie, to szczęście to trwa tylko póki życia na ziemi, a raczej powiedzieć można, że kara rozpoczyna się jeszcze w ciele. Oschła bez serca istota, póki młoda, nie czuje potrzeby tego towarzystwa drugich istot, i stosownie do wyobrażeń swoich, każdemu wystarcza jego urojenie. Ale brząkanie po klawiszach, nie wystarczy na całe życie; bo nadejdą nareście lata, w których już chęć zdobycia sobie sławy w świecie, przechodzi, a czuje się potrzebę domowego, rodzinnego pożycia.

Wtenczas już nie myślimy o modnej sukni, fryzurze; bo myśl ta do niczego by nie doprowadziła; ale pragnie się cichego domku, kątka rodzinnego, przyjaźną twarz; pragniemy czuć to zadowolenie wewnętrzne, że jest ktoś, co nas kocha, troszczy się nami, którego obchodzimy. Stara panna, która całe życie żyła zamknięta w sobie, zimna, nieprzychylna nikomu, nie znajdzie przy sobie pod koniec życia istoty przychylnej, któraby zajęła miejsce przy jej boku: musi poprzestać na towarzystwie niemile pachnącego spasionego mopsa i płaconej sługi, która nie chętnie, w każdym kącie domu wyśmiewając się, posługuje swojej pani.

Samotność wśród ludzi, ciężka pokuta w życiu, gdy ją kto doznawać musi; mała w porównaniu z pokutą moralną, jaka oczekuje taką biedną duszę po rozstaniu się z ciałem i przejściu w żywot inny, do którego każdy człowiek wrócić musi, prędzej czy później; chociaż mało kto o tem pierwej zastanowić się chce, jak gdyby to, co spotkało tego dziś, nie mogło nas jutro spotkać.

Z latami, naturalnym bardzo popędem, dusza ciągnie do pierwotnego swego stanu bezcielesności, a co sobie zdoła uzbierać przez czas swego pobytu na ziemi w moralnym postępie, własność to jedyna, którą może zabrać z sobą. Rozstając się z ciałem, rozstajemy się z bogactwem, zbieranem nieraz z chciwością, ze znaczeniem, honorami; trzeba opuścić wygodny dom, piękne meble, suknie, bo wszystkiego tego nikt z sobą nie zabierze. Śmierć zrównoważa wszystko. (D. c. n.)

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Karol Gromadziński.**